

TADEUSZ CZERNIAWSKI

# Trzej bracia (1)

(fragmenty)

Najwcześniej na swojej drodze życiowej spotkałem Pranasę, najstarszego z trójki braci i dzisiaj, już z perspektywy dobrych paru lat muszę stwierdzić, że najlepiej go poznałem, ponieważ najdłużej miałem z nim styczność, a czasami wprost ocierałem się o niego. Po raz pierwszy został zarejestrowany w mojej pamięci w okolicznościach dość niezwykłych, można powiedzieć makabrycznych. Otóż, na wiosnę 1946 roku władze dopiero co powstającego nowego rejonu hoduciszskiego, postanowiły przenieść cmentarz żołnierzy i obrońców radzieckich, poległych w walce z litewską partyzantką do siedziby tego centrum administracyjnego z Twerecza. Uważały bowiem, że polegli bohaterzy powinni spoczywać w bardziej godnym ich miejscu, w samym środku Hoduciszek, na widocznym ze wszystkich stron pagórku. Miało to przypominać wszystkim o sławnej przeszłości radzieckiej, zaś dla młodzieży byłoby przykładem do naśladowania, która w razie potrzeby tak jak Matrosow, zasłaniając własną pierś karabin maszynowy nieprzyjaciela, broniłaby z takim samym poświęceniem swojej socjalistycznej ojczyzny. Oczywiście tak mało znacząca, niczym niewyróżniająca się miejscowość, jaką był Twerecz, nie mogła sprostać wymaganiom stawianym przez rejonowe władze i partię w sprawie tego cmentarza. Młodzież i starsi mieszkańcy nie udzielali właściwej uwagi temu miejscu, kultu radzieckiej sławy, które prezentowało się niezbyt okazale. Stojący na samym środku pomnik z wysoko umocowaną na nim gwiazdą poczerniał, osiadł mocno w ziemi, a odpadający tynk odślaniał pospolite cegły, co bardzo psuło panoramę cmentarza bohaterów. Rozbiórka tej budowli nie sprawiała w zasadzie zbyt wielu kłopotów i wystarczyło, że paru mężczyzn jednocześnie na nią nacisnęło, a natychmiast rozleciała się z hukiem na czynniki pierwsze. Po tym rozpoczęła się już właściwa ekshumacja, polegająca głównie na tym, że pijani ochotnicy, którym nieźle zapłaciano, odporni na smród i obrzydliwość, kopali najpierw łopatami ziemię, a kiedy dotarli do rozkładających się zwłok, polewali je karbowaną wodą, następnie wkładali rękoma – jedni w rękawicach, drudzy bez nich – jak jakieś drewno do wcześniej przygotowanych trumien, nie troszcząc wcale o właściwy dobór szczytków – po prostu wszystko dowolnie mieszali, głośno śmiali się i mówili sprośne kawały.

To wydarzenie w Twereczu stało się na dłuższy czas głównym tematem rozmów, różnych rozważań, urozmaicało codzienną monotonię, a później wszystko ucichło, wróciło do normy i trzeba było dość długo czekać na nowe impulsy pobudzające tutejsze życie.

Obserwowałem tę niezwykłą ceremonię likwidacji cmentarza z domu, znajdującego się po drugiej stronie drogi, w którym mieszkał właśnie Pranasę ze swoją żoną Weroniką i pasierbicą Alną. Pogoda wcale nie zachęcała do przebywania na dworze, gdyż z samego rana padał deszcz ze śniegiem, a silny zimny wiatr przyniósł aż do kości i należało bardzo ciepło się ubrać, ażeby nie przeziębnić się w czasie nawet krótkiego wypadu za stodołę za swoją potrzebą.

Ale najbardziej odporni na kaprysy przyrody uważnie śledzili przebieg wydarzeń na miejscowym cmentarzu i na bieżąco komentowali to wszystko, co tam się dzieje, udawali, że chłód wcale im nie doskwiera i mogą tak stać w nieskończoność, aczkolwiek tupanie nóg, rozcieranie rąk oraz sine nosy i czerwone twarze – wszystko to świadczyło wręcz o czymś innym i w miarę upływu czasu topniały szeregi tych zapaleńców.

Marzec 1946 roku nie rozpieszczał mieszkańców Twerecza i po silnych mrozach w lutym nagle – jak to często bywa w tej części Litwy – temperatura galopującego podskoczyła, powiał łagodny, aksamitny wiaterek, a zalegający pola śnieg po kilku dniach stracił swoją poprzednią postać, pozostawiając po sobie duże kałuże, bajorka i mocno czepiające się obuwia błoto, tak że twereczanie musieli często wykonywać długie skoki jak kangury, pokonując w ten sposób przeszkodę na swojej drodze. A kiedy ruszyły lody na Dysnie i Birwecie, miasteczko prawie ze wszystkich stron zostało otoczone przez wodę, która wystąpiła raptem z brzegów tych rzek. Twerecz zamieniło się w wyspę, a tylko jezioro mocno napęczniało, jak jakiś olbrzymi bukłak, z trudem mieszcząc w sobie wodę i ledwo utrzymywało w ryzach linię swoich brzegów i nie zatopiło mieszkańców. Później pojawiły się gęste, mało przezroczyste mgły i wszystko znalazło się w białym, mlecznym kokonie, z którego udało się wyzwolić po kilku dniach, co wyraźnie poprawiło nastrój ludzi, pozwoliło odetchnąć z ulgą, spojrzeć na anielską, budzącą się wiosnę, śmiało pukając do ich drzwi. W godzinach wieczornych dochodziły do ich uszu zza rzeki charakterystyczne dźwięki tokujących cietrzewi, ryki łosi i wszystko to, jak piękny poemat symfoniczny, wylewało się szeroko, donośnie na całą okolicę i napełniało radością nawet najbardziej ponurych twereczan. A kiedy już wszystko dookoła wyschło, ociepliło i wydawało się, że wiosna na dobre tutaj się zadowoiliła, nagle przyroda się odmieniła, zima znów powróciła, a ponure, ciemne chmury wyrzuciły ze swego wnętrza śnieg i deszcz, powiały przenikliwe, chłodne wiatry. Zwiastuny wiosny szpaki, które przyleciały tutaj wcześniej, nęczone ciepłem, szybko odnawiającą się przyrodą, zostały całkowicie zaskoczone, chroniły się w różnych zakamarkach, dziurach, zagłębieniach ziemi i całymi stadami padały martwe. Właśnie podczas tych prac cmentarnych znaleziono najwięcej kompletnie zamarniętych ptaków, widocznie to miejsce upodobały sobie na przetrwanie, skrycie się przed przenikliwym chłodem, liczyły tam na ocalenie. Niestety, było to tylko złudzenie! Mimo że dom, w którym mieszkał tymczasowo Pranasę, nie był wystarczająco opalany, ogrzewany, to jednak przebywanie w nim gapiów należało do większych przyjemności niż stanie na dworze na kłującym, przenikliwym wietrze, co przecież groziło wszelkiego rodzaju zachorowaniami, a przede wszystkim „popularnymi” na tych terenach grypą i anginą. Składał się on z obszernego nieumeblowanego pokoju, prymitywnej kuchni i w zasadzie nie zasługiwał na

miano prawdziwego domu, gdyż był zbudowany naprędce, byle jak, bez konkretnego planu, głównie z gliny i spajającego ją marnego drewna, a kiedy czasami powiał silniejszy wiatr, to wydawało się, że lada chwila wszystko się zawali, a cała rodzina znajdzie się nagle bez żadnego przykrycia pod gołym niebem. Ciepło w nim trzymało się bardzo krótko i należało cały dzień palić w piecu, co było niemożliwe ze względu na skromny zapas materiału opałowego, ażeby utrzymać przyzwoitą temperaturę.

Właściwy dom Pranasę poszedł z dymem podczas wojny i teraz musiał przebywać w tym, pozał się Boże, mieszkaniu, a co więcej, jeszcze płacić systematycznie czynsz jego właścicielowi Paszyrokiemu. Często przebywałem w tej „lepiance” – tak bowiem nazywano potocznie to pomieszczenie – gdzie bawiłem się z jego pasierbicą Alną, lecz jakoś nigdy nie dostrzegałem obecnego tam jej ojczyzna, pozostawał zawsze poza kadrem mojej wyobraźni, która była kompletnie pochłonięta dziecięcą rozrywką. Nic poza nią wtedy dla mnie nie istniało, aczkolwiek w miarę podrastania, dojrzewania jego obraz coraz bardziej wypełniał się konkretną treścią, utrwalał się w pamięci. A przełom właśnie nastąpił pod tym względem podczas tego makabrycznego widowiska. Muszę w tym miejscu powiedzieć, że zawsze widok trupów mnie przerażał, napełniał strachem, nagle odzywały w mojej wyobraźni różne zjawy, złe duchy, o których tyle nasłuchiwałem się już we wczesnym dzieciństwie, widziałem je wynurzające się z grobów, przybierające postacie osób niedawno zmarłych, szkodzących żywym ludziom. Pozostawiony sam w domu nie mogłem długo wysiedzieć, wytrzymać, bałem się wszystkiego dookoła, uważnie wsłuchiwałem się w najmniejszy szelest, szmer, jakikolwiek podejrzany dźwięk i byłem mocno zdenerwowany, napięty jak struna, wyobrażałem sobie różne niestworzone wprost sceny: już wyraźnie wyczuwałem bliskość bladej jak kreda, ubranej w czerń kobiety – zmory, próbującej mnie dotknąć, przycisnąć do siebie, a przeraźliwy chłód od niej płynący przenikał mnie aż do kości i zaczynałem trząść się ze strachu i zimna. Wtedy wyskakiwałem na dwór i tam wolałem czekać na powrót rodziców. Nie skutkowały rady babci Emilii, która zawsze powtarzała, że nie należy bać się zmarłych, bo oni nie są w stanie nic zrobić złego, natomiast trzeba wystrzegać się żywych istot, zdolnych wyrządzić człowiekowi niejedną krzywdę. Wprawdzie próbowałem czasami ulec jej namowom i odpędzić od siebie koszarne myśli, przewyciężyć strach, hartować silną wolę i wysiedzieć przez dłuższy czas w samotności w jednym miejscu, ale nic z tego – znów uciekałem w popłochu, pojawiały się dawne zabolące strachy, które nie mogły ode mnie się odzepić. Teraz, przy okazji odgrzebywania trupów, odżyły we mnie ponownie dawne demony, co prawda już nie w takim, że tak powiem, natężeniu, gdyż nie byłem pozostawiony sam sobie, towarzyszył mi przecież Pranasę z rodziną i podtrzymywali jeszcze na duchu gapię, którzy co i rusz wpadali do domu, ażeby trochę ogrzać się, odtając. I wtedy nagle